

Tłó

27 maja 2022

Zamieszki są z początku buntem zrodzonym ze społecznego niezadowolenia. Buntem kierowanym przez ludzi prawych, o czystych rękach i szlachetnych intencjach. Zrywem obywatelskiej desperacji. Sprowokowane są bezsilnym poczuciem krzywdzących dysproporcji w podziale dóbr. Lecz gdy się rozszerzają tak, że nie można nad nimi sprawować kontroli, uaktywnia się demagogiczny szlam i z kanałów wychodzi ferajna zwolenników każdej idei, której nie zależy na prawie do chleba, lecz na prawie do bezkarnej grabieży.

Narodowe metamorfozy wynikłe z Rewolucji 1789 r., sprawiły, że niektórzy niewłaściwi zostali wyniesieni do szczytów, a ich poprzednicy – pospadali ze swoich piedestałów. W opustoszałych gabinetach po zgilotynowanych tyranach rozsiadły się nowe kukiełki z teatryku Historii: karierowicze, obrotni spekulanci, szpanerscy frustraci wyrosli z niebytu i żądni rozlewu cudzej krwi.

Wśród konsumentów rewolucyjnych zdobyczy znaleźli się i tacy, którym było po drodze zarówno ze zwycięzcami, jak i z pokonanymi. Ponieważ ani w Monarchii, ani w Cesarstwie, nie czuli się po właściwej stronie barykady: czy to za Króla, czy za Republiki, wiedli żywot godnych zaufania, szanowanych kanalii. Było im wszystko jedno, kogo należy uwielbiać, Najjaśniejszego Marnotrawcę, krwawego Robespierre'a, czy cesarza Napoleona. Z równym zapałem opowiadali się tak za potrzebą dokonywania radykalnych zmian, jak i koniecznością powrotu do poprzedniego menueta dziejów.

Konserwatyzm i liberalizm ciągnęły ten sam wózek, lecz każde ugrupowanie pchało go w odwrotną stronę, w innym tempie i z zamiarem uzyskania odmiennych dobrodziejstw.

Liberałowie, zakamieniała nacja spolegliwych rabusiów,

ugrupowanie maniaków ekonomicznej swawoli i prawnego rozgardiaszu, ludzie wmontowani w robienie dozwolonych kantów, zagorzali zwolennicy ekonomicznego bałaganu, opozycjoniści Monarchii, opowiadali się za literaturą klasyczną. Rojaliści natomiast, sekta spod znaku berła i wina – za literaturą dla mas: literaturą ufryzowaną z lirycznych i łzawych westchnień. Lecz tak jednemu, jak drugiemu obozowi, drogę w przód, czy do tyłu rozświećlała nostalgia za niezrealizowanymi tęsknotami, to felerne złudzenie każdej nowej miotły polegające na przekonaniu, że jej porządki okażą się lepsze od wcześniejszych.

Rodząca się prasa, nieopierzona jeszcze, zajmowała się omijaniem prawdy o rzeczywistości, pogłoskami, supozycjami, jawnym bajdurzeniem, jakby oprócz rezonerskiego politykowania nie stać jej było na przytaczanie faktów i poruszanie się w obrębie rzetelnych informacji; pospolite ruszenie pismaków o skrajnie cynicznych poglądach, popierało mętne interesy.

Przedrewolucyjny okres pozostawił w spadku prawo nieczytelne, rozwodnione przez wyraźny brak jednolitej interpretacji: prawo sprzecznych paragrafów. Ignorowało ono człowieka; państwo było heteronomiczne i policyjne – po staremu, natomiast sfraternizowany obywatel, bezradny i zagubiony – po nowemu.

Luki prawne stanowiły drożdże legalnego cwaniactwa; brak jurystycznej obroży rozwydrzył wyznawców finansowego prymitywizmu, mnożyły się więc majątki mętne pochodzenia.

Sądownictwo działało opieszale. Rekiny krętactwa śmiały się w kułak ze sprawiedliwości, a złodziejski plankton odsiadywał kolejną pomyłkę w okratowanej wylęgarni więziennych talentów. Policja nie spełniała swoich zadań bawiąc się z łotrzykami w chowanego. Rosły zwarte szeregi ludzi takich, jak Fouche, brytan opowiadający się za każdą władzą.

Dawał się we znaki upadek jakichkolwiek pozytywnych wzorców; poprzednie autorytety moralne zostały obalone, lecz ich

miejsca nie zajmowały trafniejsze. Lęk przed bezprawiem powodował wewnętrzną, jak i zewnętrzną niemoc państwa. Wśród ludzi, którzy pozostali w miejscu sprzed ustrojowych przemian rodziło się coraz powszechniejsze rozczarowanie nowym systemem.

To były balzakowskie realia. Określi te lata jako „panowanie arystokracji pancernych kas”. A w „Jaszczurze” powie: „Wolność rodzi anarchię, anarchia wiedzie do despotyzmu, despotyzm przyprowadza znów do wolności”.

Balzakowski świat parzy, odstręcza i frapuje. Jego opinie są pesymistyczne: świat jest kotłem, w którym pichcą się koncepty. Teraz wiemy, że nie ma, nie było i już nie będzie podobnego zjawiska; gdyby zdarzyło się zwycięstwo jego pragnień, byłby dusigroszem przemijania. Lecz niełaskawy los oszczędził go dla czytelników; talent pada pod naporem układów, a geniusz wzmacnia się przeszkodami, wchłania doczesne rafy i czyni z nich gustowne przystanie.

Jego pisarstwo znajduje się pomiędzy Szekspirami. To, co niemożliwe dla nas, dla niego staje się igraszką woli, fanaberią ducha. Konstruowane przez niego powieści mają rozmach; nie są kameralnymi dąsami Romantyzmu. Przeciwnie, zawierają duży ładunek obyczajowych scen, które do teraz stanowią żer dla epigonów jego myśli.

Nazywają go Prometeuszem, sam częstokroć określa się wyrobnikiem pióra (pisze sześćdziesiąt stron na dobę), lecz niezależnie od słów, obowiązkiem geniusza jest cudotwórstwo; rzeczą ludzką jest błądzić, a jego – trafiać do ich serc.

Czy można mówić o nim, nie wspominając o zażartej walce Klasyków z Romantykami, nie przypominając o nowych, ożywczych, tchnących optymizmem kierunkach w literaturze, o duchu romantycznym, jakże innym od naszego, upolitycznionego, wrzącego od niepodległościowych sporów, skażonego wyścigiem trafnych diagnoz i recept na zbawienie Ojczyzny?

Czy można mówić o nim, nie dotykając jego współczesnych, milcząc o Wiktorze Hugo, George Sand, Delacroix, zaprezentować go bez powiedzenia o Walterze Scotcie, o Byronie, nie nawiązując do Lista i Beethovena, nie odnosząc się do epigońskiego malarstwa przed Wielką Rewolucją, a pełnego wigoru po niej, o architekturze, muzyce i rzeźbie, o tych procesach i zjawiskach, z którymi się stykał, których echa widoczne są w każdej jego powieści?

Poza francuską miedzą, w 1836 roku, Gogol wystawia „Rewizora”, gorzką komedię o tragicznych czasach. Ma 27 lat. A w 1842 publikuje „Martwe dusze”. W 1831 roku, a zatem w roku publikacji „Jaszczura”, równoletek Honoriusza, Puszkina, kończy pisanie „Eugeniusza Oniegina”. Ma 32 lata. Büchner w 1836 roku ogłasza „Woyceka”. W tym samym roku ukazuje się „Spowiedź dziecięcia wieku”, dzieło Musseta. Anglia szczyty się Dickensem i jego „Klubem Pickwicka” (1836). Goethe zawłaszcza czytelniczą psychikę i po Europie rozlewa się moda na spazmy w werterowskim stylu. Za atlantycką kałużą dogorywa Niewolnictwo. Wkrótce Wojna Secesyjna położy trupem wielu idealistów.

W powietrzu wyczuwa się ideologiczną jonizację: dla człowieka nadchodzi lepszy klimat: ocieplenie dusz i ogólne zbratanie. Euforyczny Thore, Francuz, galopuje: istnieje już tylko jedna rasa i jeden naród, już tylko jedna religia i jeden symbol: LUDZKOŚĆ!

Zaczynają się polityczne exodusy: upada Powstanie Listopadowe i następują obrachunki z przeszłością. Przychodzi czas na wylewanie krokodylich łez i zewsząd słychać tupot rozwścieczonych motyli w konfederatkach.

Mickiewicz w Paryżu, dokąd zaniósł go krajowe klęski, pisze „Pana Tadeusza”, Chopin nie daje się namówić na skomponowanie Narodowej Opery, a Norwid gaśnie w przytułku. Mistyk, umysłowy chudziak i diaboliczny maestro, Mąż Opatrznościowy – Towiański, z kropidłem w ręku zamiast serca na dłoni, spieszy

na mesjanistycznej miotle z Litwy do Paryża, by ratować z obłądu żonę Pana Adama, Celinę Szymanowską, by, ludzi tej miary, co Słowacki, owinać wokół swojego charyzmatycznego palca.

To również Francja, lecz Francja nie Balzaka: Balzak jest frankofilem.

Smartfonowy świat Pana Balzaka

Pomysł utworzenia cyklu książek złączonego bohaterami wykluwał się od 1839 r., a ostatecznie zmaterializował – w 1841 roku. Jak pisze Andre Maurois („Prometeusz, czyli życie Balzaka”), Honoriusza olśniła myśl, że „istnieją gatunki socjalne, jak istnieją gatunki zoologiczne. Różnice między robotnikiem, kupcem, marynarzem, poetą, są tej samej natury, co różnice między lwem, osłem, rekinem i owcą” (str. 450).

Gigantyczny projekt namalowania uniwersalnego, socjologicznego portretu swojej epoki, obrazu wszechstronnie obejmującego życie człowieka, zamiar ten powstawał w głowie Honoriusza długo; lecz kiedy już przybrał konkretne rozmiary, przekształcił się w arcydzieło złożone z majstersztyków.

„Komedia ludzka”, to przypominający system naczyń połączonych, zbiór powieści składających się na wizerunek Francji; jest niekonwencjonalnym gmachem zbudowanym z pragnień, nadziei i złudzeń.

Kiedy czyta się większość z nich (nie wszystkie bowiem zostały przetłumaczone), ma się wrażenie przenikania bohaterów z jednej fabuły w drugą. W pierwszej występują w roli epizodycznej; ledwie są wymienieni w trakcie rozmowy. Balzak wspomina tylko o nich. Natomiast w drugiej, ta sama postać przestaje być marginalna i awansuje na postać kluczową. Na przykład margrabina d’Espard, która na różnych kartach „Komedii ludzkiej” pojawia się przelotnie, w noweli „Kuratela” jest najważniejszą osobą.

Honoriusz robi to z premedytacją; ludzie zapełniający stworzony przez niego fresk, są postaciami pełnokrwistymi. Ukazani na tle epoki, są jej wyśmienitą ilustracją: wzbogaceniem i uzupełnieniem.

Jego świat, to świat dramatycznych wydarzeń przetransponowanych na prozę „Ludzkiej Komedii”. Swoiste panoptikum nieprzerwanych obsesji. Szelmowska kraina Pana Kabzy. Przestrzeń, w której „gardzi się człowiekiem, nie gardzi się jego pieniędzmi” [„Stracone złudzenia”]. To dżungla synekur i niezapłaconych długów: społeczny przekrój historii wyspanych z życia.

Przedstawia panoramę rejentów, galerię szpiclów z „personelu” Corentina, wzorzysty dywan utkany z handlarzy cudzym losem. Szkicuje psychologiczne podobizny wiarusów Cesarstwa [„Pułkownik Chabert”]. Przedstawia machinacje wokół spadków [„Kuzyn Pons”]. Opisuje grabieżcze mechanizmy posiadania wysokich a niezasłużonych rent. Krótko mówiąc zastępuje chudych łajdaków grubymi finansistami [„Baron Nucingen”].

Maluje obrazy wymarzonych, lecz odrealnionych jaskiń „dudków” z Biesiady [„Blaski i nędze życia kurtyzany”]. Bierze na warsztat łatwowierną miłość Estery [„Stracone złudzenia”], ślicznej aktorki odizolowanej od autentycznego życia. Kreśli portrety pułkownika Chabert, spensjonowanego rębajły, opowiada o Stefanie Lousteau, dziennikarzyni z gatunku sprzedajnych z rozsądku. Kreśli postacie Magusa, Gobseca, Samamona, Grandeta. Są to przygnębiające lunaparki uczuciowych pokurczów niezdolnych do użerania się z własnym przeznaczeniem; jak mówi ojciec Eugonii Grandet, „życie, to interes”.

Bohater jego, oceniany po latach, nie jest pojedynczą figurką, ale – generalizacją: skupia w sobie wszystkie znane i antycypowane cechy, które charakteryzowały honoriuszowy czas. Powieściowy Finot jest nie tylko wizerunkiem jednego dziennikarza swawolnych obyczajów, zgorzkniałym mentorem od siedmiu boleści, lecz emblematem ówczesnego czasu. Sechard z

„Cierpień wynalazcy”, to nie odkrywca przepisu na dostatnie życie („Dwaj poeci”), ale symbol epoki, jej rozpoznawczy znak. Ojciec Goriot nie uosabia indywidualnego tatusia wpłatanego w miłosne afery swoich córeczek, tylko jest ojcem zbiorowym, jego kwintesencją: syntezą i analizą równocześnie.

Tak jak jest nią (kwintesencją) Felicjan Vernon, żurnalista o fagasowskich przekonaniach, który w domu jest abnegatem i żyje w denerwującym niechlujstwie. Natomiast w towarzystwie, czyli na gościnnych występach, zrzuca z siebie maseczkę niedomytego łachmyty i zaczyna stroić grymasy zawodowego szczęściarza; zależnie od okoliczności jest w odświeżnym nastroju i udaje bez reszty szczęśliwego, a dobry ton nakazuje mu sprawianie wrażenia człowieka odklejonego od roboty, figury bez przerwy zajętej wytchnieniem.

Świat, w którym tkwi, rządzony jest przez namiętności; przepuszcza je przez filtr swoich przeżyć i doświadczeń. Stworzeni przez niego bohaterowie ugarnirowani są zgodnie z przeznaczeniem, istnieją tam, gdzie ich zasieje. Albo mają cherławą psychikę, jak gogusiowaty Lucjan Chardon („Stracone złudzenia”), albo, jak Vautrine, pozują na tytanicznych ludzi czynu („Po czemu miłość wypada starcom”). Lub są niczym d’Arthez, czy Ludwik Lambert, postaciami uosabiającymi pracowitość, sumienność i odpowiedzialność, postaciami pochodzącymi z balzakowskich snów o zawrotnej karierze i nieprzeciętnym bogactwie; jego życzeniowymi autoportretami.

Służą mu do życia w rzeczywistej iluzji. Alegorie, opisy najeżone metafizyką trudności, nadmierne i często nieuzasadnione odwoływanie się do anielskiej ingerencji, te jego narracyjne obsesje, ta nieprzerwana skłonność do egzaltacji i emfazy, charakteryzowały epokę, w której przyszło mu żyć. Naszą jednak, obfitą w pilnych i akuratnych strażników językowych, nawykłą do powściągliwego i dosłownego wyrażania uczuć (za pośrednictwem dowolnych reguł!), stosowane przez niego sposoby ekspresji – irytują. A choć rażą purystyczne, poprawnościowe ucho, pamiętajmy, jak wtedy wyglądał

balzakowski świat.

Utwory jego nadal są aktualne, jak usposobienia kobiet. Listownie go uwielbiają, utwierdzają w przekonaniu, że je zna, a on, podekscytowany i zadowolony, wodzi zmęczonym wzrokiem za byle suknią.

W odwet za ziemskie porażki, narzuca czytelnikom własne obrazy kobiet. Fabularne wizerunki potworków wziętych z autopsji i awanturniczych dykteryjek. Przenosi je na papier, a pisząc o nich ze swadą, wtłacza w romanse. Są to zatem rozliczne ambasadorki mętnych spraw, jawnogrzesznice o gdaczącym rozumku, megiiery paplające głodne kawałki, wyrzucające z siebie oficjalne biuletyny o swoich nastrojach.

Płodzi misterne, zniewalające, rozkoszne Drętwy [„Blaski i nędze kurtyzany”], które są poślubione śmierci; skazane na grzech, występki, zbrodnie, kochają za krótko, za żarliwie i za bezinteresownie, by być prawdziwymi.

Tworzy pięknotki zdarzające się w snach. Wojownicze insekty przywleczone z najgorszych koszmarów. Chciwe na uwielbienie, cwane kręgosłupy swoich mężów, kochanków i przygodnych absztyfikantów. Kobiety – anielice, kobiety – muszki, kobiety – gnidy i kobiety – klęczniki, które stroją przed audytorium kontrolowane fochy, mają rujnujące wymagania, posługują się myślami pasującymi do koafiury.

Opisuje przechery, posępne matrony, żylaste szkapę, kute na cztery nogi, przeżarte cynizmem, obrotne w gadce, pyskate, gderliwe babsztyle udające ciotki Jakuba Collina, „Azje” i „Europy” [„Po czemu miłość wypada starcom”], których jedynym zajęciem jest sprawianie sobie przyjemności, które tolerują męczyzn tak, jak znosi się cudze zwyrodnienia. Bawią się nimi, jak kot bawi się kłębkami strachu z myszy; zawsze pod bronią, skoncentrowane na sobie, ostentacyjnie czułe i na pozór bezgrzeszne.

Męczyzna nie ma u nich szans, jeżeli jest karmiony szpakami,

ma niedochodowe przywary lub za majątek – ubogich krewnych. Staje się interesujący i powabny, kiedy można go zeszmacić, oskubać i wypchać, gdy za głośno nie narzeka na drański los jelenia.

Wnętrza postaci Balzaka nie zmieniły się, tylko zmienił się gust, smak i wrażliwość. Czas odrzucił przestarzałe dekoracje: dawne margrabiny rozproszyły się po niebytach. Bale na wywoskowanych podłogach sal zostały zastąpione dyskotekami. Dżinsy wyparły z istnienia suknie z atłasu; po niegdysiejszych sposobach zadawania szyku, błyszczenia i elegancji zginął ostatni ślad, ale tak wtedy jak dziś, toczy się żółwia gra o lepsze jutro.

Autorstwo: Marek Jastrząb

Źródło: StudioOpinii.pl